TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 35. *Chicago, Ills., 24 Lutego, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Chłopiec nie chciał się jeszcze wydać z tem, że je już miał, i spytał:

— Jakież proszę pana?

— Tu w Krakowie widzisz — odezwał się Brzeski — trudno o to.. Jabym cię zawiózł.. mam znajomego w klasztorze, przy szkole.... w pewnem miejscu... miałbyś wszystko, opływałbyś jak pączek w maśle... a co ci to niejedno? tu czy tam, byle szkoła? Ludzie poczciwi.... uczeni.... Chcesz? zabierz manatki, zajadę po ciebie jutro w nocy i.. już się o resztę nie troszcz....

Janek nic nie odpowiadając skłonił się; myślał że się to w przypadku grymasów pani Salomonowej przydać może....

— Niechże mi pan da cokolwiek czasu — rzekł.... — Toć to... tak się wyrwać trudno... muszę zmiarkować. Za dobroć pańską wiecznie mu będę wdzięcznym...

— A po cóż odkładać, po co odkładać? Odkładany tylko ser dobry — zawołał Brzeski — potem ja nie wiem, czy będę mógł... boć ja w tych dniach jadę... a to drogi kawał... a potem...

— Aleć ja tak i Materskich bez opowiedzenia się porzucićbym nie mógł.

Brzeski machnął ręką.

— A co ci tam Materscy!

— A! nie, panie! ja tak powiedzieć nie mogę, ludzie ci dali mi przytułek, gdym go potrzebował... opuścić ich niewdzięcznie grzechem by było.

Stary kulawy popatrzył i zamilkł.

— Mam jeszcze kogoś, z kim bym się pożegnać musiał — dodał Janek... a bez rady

i błogosławieństwa bym nie ruszył, tę poczciwą, przybraną matkę moją.... na wsi...

— A co ci tam ona! — mruknął Brzeski z szyderskim wyrazem.... co ci tam te chłopy...

Janek nie odezwał się, ale krokiem odsunął się od człowieka, do którego czuł wstręt coraz większy... Mimo to jednak wdzięczny mu być musiał, bo on mu dobrze życzył i wyciągnął dłoń pomocną...

— Niech mi pan raczy dać czas do namysłu...

Brzeski podumał.

— Jak chcesz — odezwał się — no.... dzień, dwa, dłużej nie mogę, ale pamiętaj, gdy ci szczęście samo w ręce lezie, abyś potem odepchniętego nie żałował... — To mówiąc nałożył czapkę i poszedł.

Przerzedzało się co chwila w winiarni, godzina była spóźniona, chłopak nie tknąwszy książki, skulony na ławeczce, dumał nad losem swoim: Co począć! — W tych stanowczych chwilach, gdy się rozstrzyga jednym krokiem przyszłość cała, nawet dziecię czuje tę trwogę nieznanego, nieodgadnionego, która ogarnia człowieka... W młodości więcej jest wiary w gwiazdę szczęśliwą i w opatrzność łaskawą, a przecież drzy serce.... bo któż sięgnie proroczem okiem w głębiny? Jankowi było straszno i smutno. Trzy drogi miał przed sobą. Zostać u Materskich i bić się dalej a dalej, pójść do Salomonów, pojechać z mało znanym a wstrętliwym opiekunem, który mu się narzucał?

— Stara Hruzdzina miała dla mnie serce matki — rzekł w sobie — może też ona mieć będzie macierzyńskie poczucie, co lepiej? Pójdę się jej poradzę....

Janek widywał często przybywającą do miasta poczciwą starą, która go nigdy nie minęła... lecz ani razu nie zajrzał na wieś. Sądził, że teraz bezpiecznie tam na chwilę przekraść się może... Szlachcic był zachorzał i zmarł, a panicz podrósł i czuba natartego zapomniał. Jakaś go wielka ochota brała miejsce to odwiedzić, gdzie się chował i gdzie pierwsze przeżył lata, których nawet bóle słodko się później przypominają...

Więc gdy Materski szedł burcząc zamykać drzwi żelazne. Janek mu się pokłonił.

— Miałbym prośbę do pana...

— Hę? — spytał kupiec — już prośbę? już myślisz, że takeś mi się zasłużył, że tak się bez ciebie jak bez prawej ręki obejść nie potrafię, iż możesz ze mnie ciągnąć co zechcesz...

— Ale ja nic nie myślę — odparł Janek — i o nic więcej nie proszę, tylko o uwolnienie mnie na jeden dzień, bo muszę pójść na Prądnik.

— Hę? już świerzbi? już świerzbi? — zawołał Materski — po co? na co? aby bąki zbijać?...

— Matkę przybraną chcę... widzieć i z nią się poradzić.

Kupiec aż drgnął.

— Cóż to za rada? czy już cię piecze, czy już ci źle?

— Łaską pańską nie gardzę, lecz....

— A! idź! idź! nie pytam więcej, idź sobie... na cały dzień, na dwa dni! myślisz, że się bez asindzieja nie obejdę, obejdę... otóż obejdę... idź...

Chłopiec milcząc się pokłonił i na tem się skończyło. Kupiec sądził, że go nastraszy, i zląkł się widząc, że to nie zrobiło zamierzonego skutku.

— Jak mi drapnie — rzekł w duchu — nie łatwo takiego znajdę.

Naradzali się z żoną długo, ale nic nie postanowili. Jak świt Janek z bijącem sercem wyruszył. Ranek był letni, pogodny, a świat uśmiechnięty i wesoły.... wyszedłszy z miasta, między drzewa... na zieloność okrytą rosą, serce się mu rozradowało... Tak długo siedział wśród tych murów... oddychał stęchlizną.. a tu tak było jakoś po Bożemu, wśród łąk, zbóż, drzew, z szerokim widokiem na ziemię i niebiosa... Aż lekko mu było iść po drodze, na której nie kamień uliczny, ale ziemię czuł, matuchnę rodzoną. W duszę wstępowało i życia pragnienie i nadzieja życia.... Ptaszki śpiewały, śpiewali ludzie, kwiaty kołysały się na łodygach, gałęzie spuszczone zdawały się go witać i chcieć pogłaskać... Droga ta była znajoma.... lipy, olchy.... chaty... twarze ludzi, wszystko aż do wesołych zwierząt, które spotykał... szło się prędko nie czując najmniejszego znużenia. Już był Janek na pół drogi, gdy zdala, czy oczy łudzą? — patrzy, wlecze się z króbką stara Hruzdzina spuszczoną mając głowę, bo pacierze odmawiała, nie rychło go postrzegła... Chłopiec nie chcąc jej nastra-

szyć począł śpiewać zdaleka. Dopiero zwolna oczy podniosła i stała zdumiona.

— A toż Janek....

— Ja sam?

— Cóż ty robisz? dokąd? stało ci się co? mój miły Boże!

— Nic, nic, dobra matko — rzekł całując ją po rękach — anom do was zatęsknił jakoś...

Zawahała się stara.

— Hruzdy nie ma w domu, mnie dziś do miasta nie koniecznie, wróćmy do chaty, większe pół drogi uszedłeś.... toć się tobą pół dnia nacieszę.

I poczęła go ściskać a głowę schyloną pocałunkami okrywać... Jankowi się na łzy zbierało... Przeżegnali się przed blizko stojącym krzyżem i zawrócili nazad do Prądnika.... a szli nie spiesząc, powoli.... a Hruzdzina potykała się co chwila, bo zapatrzywszy się na dziecko, pod nogi spojrzeć zapomniała.

— Otóż tak, prawdę mówiąc całą — ozwał się po pierwszych słowach Janek — jam nie darmo się u Materskiego wyprosił.... bo myślę coś z sobą, a postanowić sam nie umiem.

— A czyż to ja rozumniejsza jestem od ciebie! — wzdychając odpowiedziała kobieta...

O! matko droga — zawołał Janek — i rozum macie starszy od mojego i serce matczyne... radźcie.

— Cóż radzić?

Począł Janek opowiadanie.... Zaledwie o kulejącym wspomniał, kobieta plasnęła w dłonie.

— Jezu miły! a toż kuternoga ten pewnie, co cię przywiózł do nas. Jemu ty na coś potrzebny. Nie darmo on ci tak z łaską się swą narzuca...

— I co prawda — rzekł Janek — człek mi czegoś straszny i wstrętliwy..

— Jakże wygląda?

Chłopak opisywać go począł, a Hruzdzina dokończyć nie dając wołała już:

— Ten sam, na Boga, strzeż się, strzeż... on na ciebie czatuje, a jeźli wywieść chce, nie bez przyczyny. Zgubę ci może gotuje.. Za nic do niego nie idź.... za nic...

— Otóż widzicie, matko — rozśmiał się chłopiec — że głupi Janek wcale postąpił nie głupio, idąc po radę do was.... ani by mi na myśl nie przyszedł kuternoga.

— Toć on, to on, — poczęła stara, a dla większej pewności gotowam przyjść i stać, aby go zobaczyć.

Dalej Janek wspomniał o Salomonowej.

— No, w tem — zawołała Hruzdzina — nic nie poradzę, ale ci jedno powiem, na co się głupia głowa moja zdobyć może... Pójdź do kościoła, mszy świętej wysłuchaj pobożnie, proś Ducha świętego o natchnienie, a coś on powie, posłuchaj...

Tak gwarząc do chaty przyszli. Pusto tu było, Hruzda z parobkiem w polu, kobieta jeść im poniosła... na płocie siedziały wróble i sroki papląc coś niezrozumiałego. Bury kot Hruzdzinej wylegiwał się na słońcu... zresztą, żywej duszy. W chacie Janek zastał po staremu wszystko, te lata przeszły po niej nietknąwszy jej nawet.. tylko mu się ciaśniejszą wydała.. Hruzdzina rozmawiając przygotowała przyjęcie... a starej z tego niespodzianego gościa tak się radowało serce.... że ciągle ze szczęścia na łzy się jej zbierało. I nie postrzegli się, jak dzień zeszedł. Jankowi na wieczór potrzeba było do domu powracać... musiał więc staruszkę pożegnać i zwolna do miasta podążał. Wieczór jeźli piękniejszym nie był od poranka, to pewno nie mniej miał wdzięku, choć w cale różnego. Rano wszystko się rwało do życia, teraz do spoczynku.... pieśń nadziei mieniła się w chór dziękczynny... Ludzie i zwierzęta spieszyły do schronień, w których część siebie zostawiły... Słońce jeszcze całym blaskiem świeciło na pożegnanie, gdy Janek idący zwolna gościńcem ujrzał przed sobą osobliwszą jakąś kawalkatę.

Widocznie był to pański dwór, który z miasta powracał. Szła kareta sześciu końmi zaprzężona, w złocistych z niebieskim aksamitem chomątach, koło niej służba strojna w barwę świetną.... i jezdni, którzy z koni pozsiadali, bo i pani tego dworu, korzystając z pory, z towarzyszką swą szła bokiem gościńca pieszo... Za nią dwóch hajduków niosło chustki i książki z klamrami i koszyki.... Właśnie po tej stronie dróżką szedł Janek, kędy owe panie zwolna kroczyły. Zdala się im przypatrywał. Jedna była już stara a zdawała się towarzyszką, bo tamtę podtrzymywała i wybierała jej ście-

żynę najlepszą; druga młodsza, z twarzą bladą i smutną a bardzo jeszcze piękną, oczyma niebieskiemi w szeroki świat patrzała jakby nieprzytomna.... zbolała i zobojętniała? Oczy te wypłakane błądząc tak bez celu, padły na zbliżającego się chłopaka, który czapkę zdjął, blond włosy długie opadły mu na ramiona, ze ścieżki ustąpił i czekał tak, aż ów dwór się przesunie. Im bardziej zbliżała się pani ku Jankowi, tem dziwniejszym wyrazem okrywała się jej twarz... drgnęła, stanęła, podeszła krok, rumieńcem oblała.... oddech się w piersiach zatrzymał, wejrzenie wlepiła w chłopaka... wreszcie zrównawszy się z nim, zatrzymała.

Starsza pani, która jej towarzyszyła podniosła głowę — i krzyknęła.... Ludzie idący za paniami przelękli się i myśląc, że chłopak co zawinił, rzucili się, by go zepchnąć dalej z drogi, gdy pani owa wyciągnęła rękę i skinęła na chłopca... Janek podszedł... Dziwna rzecz, przywoławszy go nie mogła wymówić słowa, patrzała, łzy jej z oczów pociekły, i ledwie nie rychło pohamować się w płaczu potrafiła. Tymczasem towarzyszka... która się z równie pilną uwagą przyglądała Jankowi, postrzegłszy brodawkę pod uchem, zbladła jak trup i trzęść się zaczęła... Nie rzekła słowa, ale i jej rzuciły się łzy z oczów. Janek stał ciągle nie wiedząc co począć... i co to wszystko znaczyć mogło....

Kobiety spoglądały po sobie, ludzie szeptali, wszyscy przypatrywali się Jankowi i zdawali osłupieni, aż w ostatku pani się przeżegnała, jakby wzywając pomocy Bożej, i słodkim głosem ozwała się do Janka...

— Zkąd ty jesteś moje dziecko?

Odpowiedź była nader trudną... Janek nie wiedział naprawdę, zkąd był, z Prądnika, czy z Krakowa...

— Ja jestem.... sierota — rzekł... — ludzie z Prądnika przytulili mnie, a teraz służę w Krakowie...

Głos dziecka nowe wywołał wrażenie... obie kobiety coś przerażone jakby..

— U kogo służyłeś?

— U kupca, proszę pani, ale — rzekł Janek — właśnie do matki przybranej szedłem się radzić, bobym się chciał uczyć.. bardzo bym pragnął się uczyć, a służąc tylko po nocach mogę..

— Jakże się ty zowiesz?

Janek się zarumienił mocno. — A, proszę pani — rzekł — imię mam Janek, we wsi mnie byli ludzie głupim Jankiem przezwali, i to mi się zostało... Właśnie, że na rozumniejszego bym rad wyjść, uczyć się pragnę...

Pani słuchała, patrzała i płakała i rozstać się jej z tem dzieckiem było trudno... a zatrzymywać dłużej nie mogła. Chłopak miał czapczynę w ręku i poglądał niespokojnie na słońce, bo mu do miasta czas było.. kobiety poszeptały coś z sobą...

— Moja Modrzesiu... moja droga — zawołała półgłosem pani — pożycz mi, daj co masz... na pamięć jego... i tego, któregom straciła w kolebce... a któryby może dziś był w jego wieku.... ja mu chcę pomódz... ja mu chcę dać, co tylko mam.... teraz, zaraz... Potem, któż wie, już go... niewolno mi będzie szukać... Modrzesiu, ratuj... dam ci kanak perłowy! masz pieniądze?

— Pani, kilka dukatów...

Służba usłyszawszy słowa pani, a chcąc spełnić jej życzenie, bo ją znać wszyscy kochali, jęła kieszenie przepatrywać... Dobyto z woreczków, kto co miał... Dworzanin rękodajny właśnie był odebrał w Krakowie i miał przy sobie dwieście czerwonych złotych, podbiegł więc, wołając, iż pewnie więcej nie trzeba... Z chciwością jednak zagarnęła kobieta i te dwieście, płacąc za nie uśmiechem, i co kto miał, tak że niespodziewanie około trzechset dukatów się zebrało...

— A! to mało, to cień mojego męża i dziecka..

No mówiąc zerwała z szyi łańcuch złoty...

— Nastaw mi czapkę — zawołała wzruszona — oto masz, abyś się miał uczyć za co!

I ucałowała go w głowę... ale dotknięcie do niej.... odjęło jej przytomność, omdlała... Wszyscy rzucili się ratować.... Janek padł na kolana przed nią i rozpłakał się. Otworzyła oczy, i pierwsze wejrzenie jej padło na chłopca, który z czcią jakąś i trwogą patrzał wciąż na nią...

— Pani moja najłaskawsza — odezwał się cicho — a cóż ja pocznę z tylą złota! a czyż mi ludzie uwierzą.... że mi je darowano?

— Powiesz kto ci je dał.... pani z pod Niepołomic, którą napotkałeś w drodze...

Dworzanin szepnął mu do ucha nazwisko i razem dodał:

— Dziękuj i idź chłopcze.. idź.. boję się, żeby to naszej pani nie szkodziło... Dobremu jej sercu i swojemu nadzwyczajnemu podobieństwu do nieboszczyka pana zawdzięczasz to szczęście...

Mówiąc to dworzanin także popatrzył na ucho Janka, i usta mu się zacięły.... Chłopiec ukląknąwszy nogi i ręce pani ucałował, a miał już z pełną tą czapką odchodzić, gdy go ów mężczyzna, który był dwieście czerwonych złotych pożyczył, na stronę odciągnął.

— Ile masz lat? zapytał cicho...

— Przybrana matka mówiła mi, żem miał cztery, gdy mnie do nich przywiózł kuternoga...

Na to słowo mężczyzna pochwyciwszy za ramię chłopaka, aż krzyknął.

— Nie wiesz, jak się zowie?

— Nie wiem... ale...

Dworzanin w myśli rachował... a lat temu ile?

— Jedenasty..

Czoło pytającego zachmurzyło się.

— Gdzie teraz jesteś? — zapytał.

— Służyłem w winiarni u Materskiego..

— Bóg wielki — wyrwało się z ust dworzaninowi, i nagle pohamował się, ostygł.. Poklepał chłopca po ramieniu.

— Jeślibyś oddalał się gdzie, zostaw u Materskiego o sobie wiadomość, ona mi będzie potrzebna..

Kobietę napół omdlałą wsadzono do powozu a jeszcze z uśmiechem oglądała się na Janka.. Dworzanin poskoczył ku pani.. Janek stał, i dopiero gdy konie ruszyły, gdy wszystko jak sen zniknęło w tumanie kurzawy, przysiadł nad brzegiem rowu, aby obmyśleć, co ma ze swym skarbem uczynić

Czapeczka prawie była pełną dukatów, na wierzchu jej spoczywał gruby łańcuch złoty z medalem, w którym za szkłem widniały relikwie świętych.. Janek ucałował je, i chroniąc naprzód tę pamiątkę drogą, zarzucił na szyję pod koszulę.. dukaty potem zawiązał w chustynkę i tak... pijany swem szczęściem, modląc się, śmiejąc, płacząc, marząc pospieszył do Materskich, pewien, że go tam straszne czekają burze.

W istocie Materski cały ten dzień boży na wąs motał, nikt mu dogodzić nie mógł, chłopców niemiłosiernie tłukł... żonę nielitościwie łajał, do gości się nawet czepiał i sam z sobą się kłócił — ku wieczorowi spotęgowany zły humor doszedł do najwyższego stopnia, czekał tylko na Janka, ażeby go wylać w całości na niego. Janek powoli rozmarzony idąc, opóźnił się wielce; już jedna połowa drzwi była przymknięta, co gościom przypominać miało, że czas się było wynosić, gdy chłopak ukazał się w progu.

— Ha no! przecież! przecię! — zawołał Materski — myślałem, że jaśnie wielmożny panicz już nie raczysz zawitać w ubogie progi moje! — No cóż? jakże podróż się udała?

Janek wesół odparł! — A! bardzo szczęśliwie.

— To źle że trochę za długo trwała — rzekł Materski. — Mówiłem ci, żebyś mi był na godzinę szóstą, a oto bije ósma u P. Maryi. — Więc cóż?

— Bardzo przepraszam pana..

— I myślisz, że już po wszystkiem?

— A żem się opóźnił nie moja wina — dodał Janek.

— Czyjaż? moja zapewne? hę? — spytał kupiec.

— Nie alem miał przypadek.

— Cóż to tam? Konie ponosiły, czy but, z pozwoleniem, trzasł? — rozśmiał się złośliwie Materski.

— Nie, miałem spotkanie.

— Ha? z królem JMmością, czy z ks. Prymasem?

— Z panią z pod Niepołomic...

Janek dodał nazwisko, Materski się zdumiał, ale zaraz krzyknął:

— A nie łżyjże! a nie łżyj!

— Święta prawda...

— I cóż? co? gawędziłeś z nią?

— A! święta pani! — przerwał Janek — a dobra pani! a złota dobrodziejka moja...

— Cóż to tam? dała ci tynfa?

Janek się uśmiechnął, dobył chustkę, rozwiązał węzły i odkrył złoto swoje...

Materskiemu klucze z rąk wypadły.... a oczy o mało z powiek nie wyskoczyły.. Słów mu zabrakło...

— Widzi pan — rzekł Janek.... — Rusini mówią: Nad sierotą Bóg z kaletą....

Kupiec stał niemy. Gniew go odszedł zupełnie, ogarnęła jakaś niepewność i trwoga.

— Gadajże jak to było? Bajka jakaś, czy kłamstwo....

Janek po swojemu opowiadać zaczął....

Osłupiał słuchając Materski...

— Daj pieniądze, trzeba je przeliczyć.

Siedli tedy na ławie, a Janek dobywał po troszę i składał w kupki dziesiątkami. Gdy pierwsze sto odliczyli, i zgarnął je na bok, kupiec nie mógł już słowa przemówić, a zaczęli rachować drugie sto.... Janek znowu odłożył je na bok.

— Cóż? jeszcze tam są? — zapytał kupiec — zajrzał w czapkę: leżało na dnie sporo.

— A! niechże cię kaci porwą! — niech cię porwą! — chwytając się za głowę począł stary... toć się pod jakąś gwiazdą urodził, żeby na gościńcu pieniądze zbierać.... na, licz...

Liczyli jeszcze i wyliczyli znowu sto... ale na dnie już pozostało tylko sztuk sześć.. Janek zebrał swój skarb, zawiązał go znowu w chustkę... i milczał.

— To jeszcze nie wszystko — rzekł.

— A cóż masz więcej? jeszcze masz więcej? — krzyknął Materski...

Janek odsłonił suknię i na piersi pokazał łańcuch, złoty.... zdjął go z poszanowaniem całując relikwie... i podał kupcowi.... który osłupiały.... odważył tylko na dłoni.... Biorąc na jedną rękę dukaty, na drugą szczerozłoty, ciężki ów pancerzowy łańcuch; przekonać się było łatwo, że ów sam więcej ważył niż wszystkie razem pieniądze....

Kupiec westchnął, aksamitną czapeczkę nakształt jarmułki, którą nosił zawsze na głowie obawiając się zawiania, zdjął i pokłonił się z szyderską rewerencyą Jankowi.

— No, teraz tyś pan, a że nie lubisz łotrować, bylebyś się nie popsuł, byle cię źli ludzie nie odarli, byleś miał rozum i byle ci Bóg jak dotąd szczęścił.... no.... to ci świat otwarty. Ja... po ojcu wziąłem handel, ale widziałem wielu takich, co od czerwonego złotego poczynając dorabiali się krociów... Gdyby ci tylko ta głupia mania nauki odeszła... a ochota robić grosiwo napadła... pójdziesz daleko.... Ale masz Janku lat ledwie piętnaście, nastają gorące życia godziny, pokusy straszne... jesteś bez opieki, grosz się uśmiecha wszystkiem, co dać może.... Jedno waszeci powiem... niech Bóg szczęści.... niech Bóg szczęści...

Janek starego w rękę pocałował...

— Dobry panie — rzekł — chocieście mnie połajali nieraz, ale ja dobre wasze serce dla mnie cenię, szanuję i nigdy o niem nie zapomnę.. Bóg niech wam płaci za sierotę!....

Janek całą noc oka zmrużyć nie mógł, modlił się, myślał, układał plany.... Koniec końcem tyle miał teraz kłopotu z pieniędzmi, ile wprzód z powodu, że ich brakło. Przychodziła nareszcie obawa rabusia i złodzieja, rzezimieszków i oszustów, pieniędzy tak znacznych trzymać przy sobie nie było podobna, a oddać je lada komu — strach. Materski był uczciwy człowiek, ale nie wytrzymałby i zaraz wina z Węgier sprowadzał, a potem kapaniną odbierał.... Bramiński zacny także, wielce goły był i nie zamczysto koło niego. Przychodziła tedy na myśl pani Salomonowa... ale z tem musiał Janek czekać do jutra...

Z rana pożegnawszy na dobre Materskich, posunął się chłopak do niej ze swoim skarbem...

Tymczasem, gdy go już nie było, nadciągnął Brzeski na swoją lampeczkę, a jak zwykł zawsze naprzód o Janka się dowiadywać, tak i tym razem zapytał....

— Gdzież mój chłopiec?

— E! już go pan tu nie zobaczysz — odparł Materski.

— A cóż się z nim stało? wygnaliście go, czy co?

— Nie, sam poszedł, anim go myślał strzymywać. Chłopcu się strzególniejsze trafiło szczęście....

— Cóż takiego? co?

— Wczoraj chodził do przybranej matki na Prądnik.... a no, wracając spotkał panią... z pod Niepołomic...

Brzeski zbladł i za stół się pochwycił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZEJ WĘDROWCY,

CHRZEŚCIANIN, ŻYD I TUREK

— CZYLI —

KTO W BOGU POKŁADA ZAUFANIE, O TYM MA TENŻE OJCOWSKIE STARANIE.

Powieść nader powabna i pouczająca.

— PRZEZ —

TOMASZA WIŚNIEWSKIEGO.

(Dokończenie.)

I rozgadał się Ludwik, i opowiadał starcowi dalej.

— Niegdyś byłem wielkim bogaczem, dziś nim nie jestem. Bogactwo moje leży w morzu. Pan dał Pan wziął, i mamże się dla tego trapić? Wreszcie wie Bóg najlepiej, co jest dobre dla człowieka. Po długiej wędrówce przybyłem ubogi do mojej ojczyzny. Rodzice moi cieszyli się, gdym powrócił. Zestarzeli się mocno i nie byli już zdolni zarabiać na chleb. Wezwawszy Boga na pomoc, wziąłem się do pracy, żywiłem ich. Prócz statków rzemieślniczych, znikąd nie miałem pomocy; to jednak nie odebrało mi odwagi. Wstawałem przed wschodem słońca do pracy, i nie przestawałem pracować aż wszyscy sąsiedzi posnęli. Dziękuję Bogu, że mam tak silne ciało. Praca dodawała mi co raz większych sił, ojciec i matka błogosławili mnie, a robota moja dobrze odchodziła. Lubo mi czasem trudno, jednak mam już nie złe wyżywienie, i jak sam widzisz, chowam sobie kilku czeladników; później zaś, jak mam w Bogu nadzieję, będę ich sobie chował więcej. — To mówiąc, uśmiechnął się cokolwiek. — Ale niestety! rodzice moi już umarli; osładzałem im życie, ile możności; oni mnie za to błogosławili, a Bóg szczęścił mi zawsze. Po śmierci rodziców wziąłem sobie żonę, ta powiła mi już czterech synów i dwie córki. To mnie czyni mocno szczęśliwym; największy bogacz nie doznaje częstokroć większego szczęścia odemnie.

Ale proszę się nie gniewać, żem się w tak długą zapuścił opowiednią, — w jakimże tedy interesie przybyłeś, mój panie, do mnie?

I powstał Ulin stary z swego siedzenia, łzy radości puściły mu się z oczu. I uchwyciwszy Ludwika za rękę, miłym przemówił głosem do niego:

— Mężu dobry, nikt podobno na świecie nie cieszy się bardziej z twojego szczęścia, jak ja, którego wcale nie poznajesz. Starość, utrapienie, nieszczęście zmieniły rysy twarzy mojej okropnie.

Ludwik zmieszał się bardzo. Zdawało mu się, że głos mowy starca kiedyś już słyszał; — z uwagą patrzał na niego, nakoniec rzucił mu się do nóg, i zawołał: — Boże wielki! czy w istocie widzę pana i króla mego przed sobą?

Starzec podniósłszy go, rzekł:

— Nie tak, mężu dobry, mężu cnotliwy, pójdź raczej w moje objęcia, w tobie ziściły się moje nadzieje, byłeś cnotliwym w szczęściu, jesteś cnotliwym i teraz, gdy ciężko na kawałek chleba pracować musisz. Ty jesteś pociechą w moich dolegliwościach, jedyną moją ucieczką, los mój jest nader okropny. Oto nie jestem już więcej królem, przestałem być wielkim, potężnym. Jestem ubogim, starym i opuszczonym człowiekiem. Niewierny naród mój zbuntował się przeciw mnie, przymusił mnie do ucieczki, i ledwie życie moje uratować zdołałem. Błąkam się teraz po świecie przy tym oto kiju, nogi mi już ustają, i nie wiem, w którą udać się stronę, nie wiem jak żyć, i gdzie tę siwą głowę położyć.

Ludwik rozrzewniwszy się, ścisnął nieszczęśliwemu rękę i drżącym rzekł do niego głosem:

— Ach, panie mój! nie trać tylko ufności w Bogu, on cię nie opuści! Patrz, oto nieba błogosławią pracę moją, nie jesteś przeto zupełnie opuszczonym. Od dnia dzisiejszego będziesz u mnie, będziesz sypiał w najlepszem łóżku mojem i najpierwszem przy stole zasiadywał miejscu; najlepsze potrawy będą tobie dawane, a dzieci moje będą w tobie uważały drugiego dziadka swego, tobie nasamprzód powiedzą dzień dobry, tobie nasamprzód dobra noc. Dzięki Ci Boże! Oto mam sposobność okazania się wdzięcznym za dobrodziejstwa, których doznałem podczas mego pobytu na wyspie od ciebie, mój panie!

I otworzywszy czemprędzej drzwi, zawołał na żonę i dzieci. A gdy się wszyscy przybliżyli, rzekł:

— Patrz żono, oto król Ulin z odległej wyspy, o którym wam tak wiele dobrego powiadałem. Dzieci, oto dziadek wasz dobry przyszedł do was, pójdźcie i pocałujcie mu rękę, i dajcie mu słowo, że go będziecie zawsze słuchały i że będziecie zawsze grzecznemi.

Żona i dzieci były mocno zadziwieni; po chwili otoczyli wszyscy z niewypowiedzianą radością miłego staruszka. Dzieci wołały: Król Ulin, nasz dziadek! Król Ulin, nasz dobry dziadek! A żona Ludwika zaraz skrzętnie uwijała się około wieczerzy. Nie długo, a już była sporządzona. Stół był czysto nakryty; pierwsze miejsce przeznaczono dla Ulina, który czując się wewnętrznie zadowolnionym, nieopisanego zażywał szczęścia. Łzy radości spadały mu po licach jego, i sobie wyznał, iż osiągł to, za czem się już tak długo nadaremnie naganiał.

ROZDZIAŁ DWUNASTY,

Dzień urodzin.

Stary Ulin mieszkał już długo w domu Ludwika. Zdarzenia codzienne, których Ulin naocznym był świadkiem, były najlepszemi dowodami cnoty i prawdziwej religijności Ludwika i jego familii. W domu była jedność, pokój, szczodrobliwość i praca. Ulin często rozmawiał z Ludwikiem o wierze, a im więcej ją poznawał, tym więcej znajdował w niej upodobania. Rozmowy te przyprowadziły go tak dalece, iż się przekonał, że wiara o Upupachu odwiecznym i nauka o ustawach tejże wiary, jest dziełem ludzi; że treść nauki jego nie jest zdolna, aby uczyniła człowieka stałym w przeciwnościach i ugruntowała go na zawsze w dobrem.

I zdarzyło się, że jednego dnia przyszły dzieci do Ulina i powiedziały mu, że jeszcze tylko trzy dni do urodzin ich ojca; w dniu urodzin chcą ojcu powinszować wszystkie razem i wszelkie mu sprawić ukontentowanie. — Nie prawda ojcze Ulinie, (tak bowiem pozwolił do siebie mówić) wszak i ty będziesz z nami?

— Bez wątpienia, moje dzieci, — rzekł starzec, — przystąpię i ja do was, i będę się cieszył z wami.

Dzień urodzin nadszedł, i wszyscy się w domu radowali. Już się miało ku obiadowi; Ludwik, żona jego i dzieci, nawet czeladź, w świąteczne poubierali się szaty; już był czas zasiadać do stołu.

Na czystem obrusie leżał klejnot najdroższy, ozdoba świętości dnia tego, najlepsza nagroda cnoty. Była to owa połowica szaty, którą Ludwik na pamiątkę odebrał z rąk króla Ulina, — właśnie jedyna rzecz z owych wielkich skarbów, gdy bowiem skarby szły do dna, Ludwik uchwycił naprzód za szatę, której już nie puścił. Wystawieniem tego klejnotu mniemał Ludwik uprzedzić dobrego staruszka, gdy i ten przybędzie do izby i swoje mu złoży powinszowanie. Lecz starzec nie przybywał, i już poczęto o niego kłopotać się. Ulin wyszedł bardzo rano z domu i jeszcze nie powrócił.

— Ach Boże! — rzekła żona Ludwika, — żeby go nie spotkało przynajmniej jakie nieszczęście.

— Nie, nie, matko, — zawołał mały Jaś, — ojciec Ulin powiedział do nas, że i on chce ojcu sprawić ukontentowanie, pewnie bawi jeszcze w mieście i kupuje jakie piękne rzeczy dla ojca.

Niedługo dał się słyszeć turkot powozu, i w krótce zatrzymano się przed domem Ludwika. Znajdujący się w izbie pobiegli do okna, ale jakże się zadziwili, gdy ujrzeli powóz

z złotemi i srebrnemi ozdobami i sześć przednich koni w najkosztowniejszym ubiorze? Lecz jeszcze bardziej zdziwili się wszyscy, gdy słudzy otworzywszy drzwi od powozu, wysadzili króla Ulina. I natychmiast udał się tenże, po królewsku ubrany, z sługami swymi do izby Ludwika. Wszyscy zmieszali się mocno. Ludwik nie był mocen słowa wymówić, żona i dzieci stały jak wryte. Było takie zamieszanie, że gdy król Ulin wstąpił do izby, nie umiano go przyjąć i powitać.

Nareszcie król Ulin miłym głosem do nich przemówił:

— Szlachetni mieszkańcy domu tego! Czemuż się trwożycie? Skoro Ulin jako starzec nieszczęśliwy znalazł u was wygody i najmilsze obejście się z nim, cóż go zdoła wstrzymać jako króla od okazania zadowolnienia swego i niezmiennej przyjaźni swojej ku tobie, wielce szlachetny mężu, i tobie, nader godna familio?

I zbliżywszy się do Ludwika, wziął go za rękę i rzekł:

— Niech Bóg najwyższy udziela ci tysiącznych pociech, i niech błogosławi chwilom życia twojego! Żyj tak zawsze, jak żyłeś dotąd, i pokładaj zawsze ufność w nieskończonem miłosierdziu Boga! Znoś przykrości życia tak stale, jak Chrystus, który cierpiąc i umierając za nas, wybawił nas od ciemnoty i niewoli szatańskiej. Od dnia dzisiejszego, dnia uroczystości urodzin twoich, jest twój Bóg oraz moim Bogiem. Wyznaję, żem umyślnie przybył do ciebie jako nędzny i opuszczony starzec, abym się przekonał, czyli wiara twoja jest uzasadniona na niezmiennej i niewzruszonej podstawie; czyli godna, aby ją wszystkie wyznawały narody. Wiara twoich dawnych towarzyszów, którzy jednakowe z tobą ponieśli nieszczęście, nie ma tych zaszczytów. Nim odwiedziłem ciebie, byłem już u nich, ale przekonałem się, że wiary ich są czcze; tam biedny nie ma wsparcia, nieszczęśliwy nadziei, smutny pocieszenia. Tamci nie znają ni siebie, ni ludzi, ani nawet Boga; szaleństwo zakrada im się do głowy, szydzą z cnoty i rzeczy świętych, nienawidzą rozumu i zapierają się Boga, który jest niewidzialnym zarządca świata, a któremu wszyscy służyć z ochotą i poddać się z ufnością winniśmy. Gdy ty, Jusuf i Zebit, na wyspie mojej schronienia szukaliście, różne wyznania wasze stały się powodem, iż począłem powątpiewać o prawdziwości wiary mojej. Słowa mędrca Jedoka dodały mi odwagi, żem przedsięwziął dochodzić, która wiara godna przyjęcia. Wiara twoja, Ludwiku, jest zaszczycona filarem cnoty i prawdy; nauka Jezusa Chrystusa, który jest głową niewidzialną kościoła twego, jest źródłem niewyczerpanem szczęścia ludzkiego. Od dnia dzisiejszego będę wiernym i szczerym członkiem kościola Bożego. A gdy powrócę do kraju, ogłoszę ludowi wolę Boga wiecznego. Wezmę z sobą kapłanów, aby oświecili lud mój, i nauczyli go wiary prawdziwej, iżby się stał teraz i po śmierci szczęśliwym.

Abyś mój drogi Ludwiku, długoletnią, w tym dniu uroczystości urodzin twoich, odomnie odebrał pomiątkę, nie gardź, przoszę, przyjąć kilka tych darów, których ci teraz udzielić mogę.

Na skinienie Ulina złożyli słudzy bogate podarunki, i Ludwik stał się najbogatszym obywatelem w całym Zamborszcie. Ludwik, żona i dzieci rzewnie poczęli płakać, tudzież wszyscy przytomi; padli do nóg królowi i prosili o błogosławieństwo. A ten wzniosłszy oczy ku niebu, modlił się do Boga i błogosławił całej familii i wszystkim osobom przytomnym. Gdy Ulin spostrzegł na stole położoną połowice szaty swojej, padały mu znowu łzy z oczu jego, i i uczuł niewypowiedziane ukontentowanie. Potem święcono urodziny. Król siedział na pierwszem miejscu u stołu. Kubek napełniony winem obchodzi na około, niepodobna opisać szczęścia, jakiego w razie podobnym dusze cnotliwe zażywają. Król Ulin bawił jeszcze przez czas niejaki, w domu naszego Ludwika, potem odjechał do swego królestwa. Po nie zbyt długim czasie powywracano posągi Upupacha, a na ich miejscu powstały kościoły z przepysznemi wieżami, na których się unosił znak krzyża świętego. Kapłani ogłaszali ciągle ewangelią ś. i odprawiali na ółtarzach ofiarę ś. na pamiątkę wiecznotrwałą owej ofiary, którą Zbawiciel przy ostatniej wiecierzy postanowił i na krzyżu wykonał. W świątyniach Pańskich padał na kolana lud krola Ulina, modląc się do wiecznego, wszechwiedzącego, wszechmocnego i niewidzialnego Boga, Ojca najmiłościwszego.

Na końcu tej powieści postanowiłem kilka

słów przemówić do ciebie, dobra młodzieży polska! Powieść powyższa przedstawia nam wyraźnie, że chcąc się ludzkość odrodzić i uszczęśliwić, jedynie dokonać tego zdoła na zasadzie Jezusa Chrystusa. Dziękujmy przeto Bogu, iż nam dozwolił kształcić się w tak świętej i nigdy niepokonanej nauce. -- Lecz nie dosyć nazywać się chrześcianinem, trzeba koniecznie, abyśmy ducha tejże wiary i nauki Bozkiej urzeczywistniali dobremi uczynkami, tak dalece, iżby strona praktyczna życia naszego odpowiadała życiu, jakie nam kościół Boży w całej swojej przeobraża budowie. Bo powiedzże mi sama, cóżby to był za człowiek, któryby modląc się do Boga, wychwalał nieograniczoną miłość Jego, a nie szanował i nie kochał bliźniego swego, przez który to wyraz rozumiemy przecież wszystkich ludzi na ziemi, bez względu na ich wiarę, i pochodzenie, bez względu, czyli są przyjacielami lub nieprzyjacielami naszymi? Miłość Boga opiera się na miłości bliźniego i na odwrót. Kto więc nie kocha i nie poważa bliźniego, jako siebie samego, ten nie kocha i Boga, owszem szydzi z Niego oczywiście, albowiem obrażając bliźnego, i czyniąc mu krzywdę i niesłuszność, najgrawa się srodze z obrazu Bozkiego, który jest przecież w każdym człowieku ukryty. — Ale dzienne sprawy nasze dowodzą, iż nader często zapominamy o tem wielkiem przykazaniu, wpływającem już z samego prawa natury. I tak n. p. co się tyczy żydów, o jakże często obrażamy w nich Boga; jak często w stósunkach naszych z tym narodem nie zważamy bynajmniej na naukę Zbawiciela świata, który nam wszechstronną nakazuje miłość, gdy wyrzekł te słowa: „Kochajcie się wzajemnie, jak ja ukochałem was; po tem poznają was, że uczniami moimi jesteście, jeżeli wzajemnie kochać się będziecie, jak ja was ukochałem.” Jan. 13, 34, 35. — Bo chociaż żydom jakiej materyalnej nie wyrządzimy krzywdy, zdarza się jednak często, iż ich krzywdzimy duchowo, znieważamy ich na honorze i sławie, wyłączamy ich niesłusznie od spraw współeczeństwa i względów ludzkości. Prawda, złe mają niektórzy starozakonni nałogi i obyczaje, ale jakże, pytam się, mogą ci nieszczęśliwi z nich oczyścić się, gdy w niewolniczym, że tak rzec można, do nas zostawać muszą stósunku? — gdy im lepszemi nie przewodniczymy przykładami i nie dajemy im sposobności do zapoznania się z praktyczną, jako dostępniejszą stroną chrystyanizmu i zamiłowanie nieomylnych zasad jego? Nie oddalajmy ich do siebie, pokażmy im stronę praktyczną nieoszacowanej nauki Zbawiciela naszego, a przekonamy się, iż naród ten stanie się zupełnie innym narodem, i będzie bez wątpienia uwielbiał zasady, przez które stał się oswobodzonym. Wiedzieć także trzeba, iż najgorsze częstokroć pojęcia o Bogu, Jezusie Chrystusie i t. d., ustępują z głów innowierczych, skoro praktyczne dajemy dowody miłości chrześciańskiej, i nie ukrywamy pod płaszczykiem tejże miłości czasem najbezczelniejszych zdrożności przeciw sobie i powołaniu. Ludwik, o którym była mowa w powieści naszej, dał dowody bezpieczne, że życie jego zewnętrzne było skutkiem życia wewnętrznego; toż samo działo się z Jusufem żydem i Zebitem turkiem. Można też wyraźnie twierdzić, iż nauka religijna każdego człowieka przepływa rzeczywiście w życie ludzkie, w nie się zamienia, ono poprawia albo gorszy, uszczęśliwia albo potępia, w miarę zasad każdej nauki wiary. Badania króla Ulina doprowadziły go do tego stopnia oświaty, iż się przekonał o niewzruszoności i świętości nauki chrześciańskiej; nie byłoby to nastąpiło, gdyby nasz Ludwik nie był prowadził życia zgadzającego się z duchem prawdziwym nauki Chrystusa. Nie żyjący więc wedle przykładu tego szlachetnego młodzieńca, mocno ubliżają kościołowi, uszczerbek mu czynią i zniechęcają nie raz wielu do połączenia się z nim. Przedewszystkiem ufność w Boga i w naukę Jezusa Pana powinna nam przewodniczyć w całem życiu naszem, bez niej działalność nasza byłaby czcza i niezdolna przetrwać aż do końca.

Niechaj jeszcze o jednem nadmienię. Duch religijny Jusufa i Zebita nie oswobodził ich od nieposkromionej żądzy posiadania skarbów. Bogactwo znaczyło u nich więcej, niż cnota. Widać, że chciwość ta przytłumiła w nich wszelkie zarody ludzkości. Lecz niestety! I u nas chrześcian znajduje się wiele podobnych indywiduów, które wbrew nauce Zbawiciela swego z najbrudniejszej nie raz w tym względzie pokazują się strony. Ci niegodziwi, że tak rzekę, nic nie przedsięwezmą dla bliźniego, jeżeli żadnego dla siebie materyalnego nie przewidują zysku, bo wszystkie ich czynności są bez umiarkowania na to jedynie skierowane, aby się jak najprędzej zbogacić, i mniejsza czasem o to, czyli

ze szkodą swych braci, — swych bliźnich; ci niegodziwi mówię, nie troszczą się o ogół, bo ogół i bliźni jest u nich rzeczą obojętną. — Wszak nie na to mają ludzie majątki, aby odrębiając się od ludzi, nauk i badań społecznych, tylko o sobie pamiętali, oddając się dogadzaniu ciału swemu i jego zmyślnościom, lecz abyśmy niemi rozsądnie szafowali i przykładali się szczodrze do osiągnienia jakich chwalebnych zamiarów ogółu. W starożytności narody były bardziej między sobą odrębne, w teraźniejszym czasie takowa odrębność jest arcy-szkodliwą. To błędne i nader niegodziwe postępowanie wkradło się, niestety, do wszystkich prawie warstw społeczeństwa, nad czem tym bardziej ubolewać trzeba, gdy chciwy bogactwa jest podłym oraz somolubcą. Dwa rzeczone przymioty w ścisłym z sobą stoją stósunku. Brudna, osobista, albo szczupłem kołem rodziny ogroniczona samolubność, jest niegodna prawego człowieka, boć każdy znać powinien tę świętą prawdę, że nie dla siebie tylko żyjemy, ale dla bliźnich naszych i ojczyzny. — W powieści naszej nie spostrzegamy w Ludwiku nawet najmniejszego cieni samolubstwa, ale też nie mógł Ludwik tak brudnego posiadać przymiotu, bo działania jego były zawsze prawdziwem echem głosu nauki Zbawiciela świata. Dobra młodzieży! Niech żądza nieumiarkowana w tej mierze nigdy nie zaślepia serca twojego; nie zawracaj sobie głowy, gdy ci los później mniej udzieli dostatków od drugich; przekładaj cnotę i szlachetność serca nad największe pieniądze, bo lepiej być ubogim a cnotliwym, niż bogatym a wzgardzonym człowiekiem. A jeżeli Bóg zrządzi, iż przyjdziesz do majątku, używaj go jak Bóg przykazał, pamiętając na to, iż cnota i prawdziwa szlachetność serca miały i mają w każdym narodzie swoich wielbicieli i naśladowców prawych, co właśnie jest najgodniejszą cnotliwych nagrodą; pomnij, że tylko niegodziwiec i służalec, zdolny zbezcześcić świętość i wielkość zasługi, gdy powie do niecnotliwego, iż działa cnotliwie.

Tomasz Wiśniewski.

KONIEC.

GAWĘDZIARZ.

WYZYNKI NOCNE.

(Ciąg dalszy.)

Ludziska powrócili do Sincic, a wieść o mającej nastąpić w nocy wyżynce, natychmiast się rozeszła po wsi całej, a nie było ani jednego teraz człowieka, któremuby nie było miło, że popracowawszy parę godzin, przyjdzie w pomoc choremu sąsiadowi.

Kiedy się już zaczęło zmierzchać, a miesiąc właśnie wybił się do góry i jakby olbrzymia latarnia zaczął przyświecać ziemi, a ciepły jesienny wieczór zaległ na około. Przed chałupą Antka Staszkiewicza odezwały się skrzypce, cienkim a donośnym głosem, rozległa się nuta krakowiaka, a basy zahuczały wtórem, uderzyły blaszane talerze, to jaki taki czemprędzej łapał za sierp, gdzie były dzieciaki, to położywszy je spać, zamykał na kłódkę chałupę i czemprędzej na Górki przed chałupę sołtysa, bo ztamtąd wszyscy razem mieli wyruszyć w pole. Ale

chłopaki i dziewuchy, nie chciały jakoś czasu tracić na próżno, bo i jak tu stać z założonemi rękami, kiedy muzyka tak rżnie od ucha, a nogi same podrygają do tańca; chłopaki więc tylko kiwnęli na siebie, przycisnęli pasa, czapy nasunęli na bakier i dalejże obchodzić w koło i upatrywać sobie tanecznice. I tak Stach kiwnął na Kaśkę, chociaż za drugimi stała. Kuba dopatrzył się swojej Maryny, a Błażek znalazł się przy Połośce i tak jakoś każdy trafił na swoją; i hej! ha odezwały się podkówki u obcasów i całe koło raźno wykręcało obertasa na podwórku sołtysowem, a miesiąc tylko z góry ciekawie przyglądał się przez liście dwóch kasztanów, co je jeszcze ś. p. Wojciech, dziad dzisiejszego sołtysa sadził.

A tymczasem ściągali się ludzie jedni za drugimi, i kiedy już wyszło ze trzy pacierze, a nie było widać nikogo przybywającego, sołtys podsunął się do Sylwestra, coś mu tylko szepnął na ucho, a ten tylko kiwnął głową na znak zrozumienia i raptem zmieniając nutę zamiast wesołego obertasa, jak zagra marsza aż tu wszyscy stanęli jak wryci.

— A co to znaczy? a co to znaczy? — zaczęła się pytać ta i owa.

— Chcecie wiedzieć co to znaczy — mówił Antek — oto znaczy że nam już czas w drogę, trochę uczciwej zabawy nie zawadzi i Boga się tym nie obrazi; nie sprzeciwiałem się wam żebyście trochę poskakali, aleśmy się tu przecie nie po to zebrali, żeby się bawić. Hej! kapela dalej naprzód! a tego samego od ucha! i to mówiąc sołtys kiwnął na syna, a ten zaraz postąpił naprzód wygrywając tego samego marsza, a basy mu huczały za uchem, a cymbały brzęczały, że aż ziemia jęczała.

Cała więc gromada pociągnęła raźno ze śpiewami za kapelą, a kiedy przechodzili około chaty Józefka, drzwi się raptem na roścież otwarły, a ona sama wyleciała z płaczem i zabiegła drogę gromadzie, a już widać ktoś jej powiedział o wszystkiem, bo zobaczywszy naprzód sołtysa, rzuciła mu się jak długa do kolan i serdecznie płacząc je ściskała i dziękowała, że przecie o biednej sierocie nie zapomnieli, a następnie zaczęła ściskać i całować po kolei gospodynie i jak to jakoś umiała do każdego serca przemówić, że nie jedna się szczerze rozpłakała.

— A niechże was też Bóg Najwyższy za to nagrodzi, moi poczciwi, moi najlepsi sąsiedzi, żeście nie zapomnieli o nas biednych sierotach, mój chłop jak się tylko dowiedział o tem, to chudziaczkowi jakby kto ręką odjął chorobę, toć błogosławi was tam błogosławi a chciałby was zobaczyć sołtysie, chociaż na pół pacierza, żeby wam za to wszystko podziękować.

— A dla czegóż to nie miałbym odwiedzić chorego, a kiedy powiadacie że Józefek zdrowszy, to niechaj będzie Bogu za to chwała, juścić wstąpię do niego jak będziem powracać i opowiem mu co tam zrobiemy; wy zaś teraz idźcie do chałupy i powiedzcie mu żeby był spokojny, już tam żadnej targaniny nie będzie, ja tam sam wszystkiego dopilnuję i zrobi się jakoś wszystko po uczciwemu.

To mówiąc sołtys znowu skinął na kapelę i pożegnawszy Józefkowę, poszedł dalej na czele gromady.

Przez całą drogę odzywała się muzyka i śpiewy, a kiedy stanęli na pierwszym działku Józefka, a było ludu przeszło ze dwieście, to w mgnieniu oka zleciał pustawek jakby z bicza trzasnął, a muzyka rznęła ciągle od ucha, a śpiewy rozlegały się na około. — I tak jeden za drugim znikał pustawek ze zbożem, a księżyc tak świecił jasno jakby naumyślnie do tej roboty.

Pustawki Józefka ciągnęły się bardzo długim a wązkim pasem, przez staj ośmioro i jednym końcem dotykały się lasu; kiedy więc żeńcy ciągle śpiewając, chwycili się już ostatniego pustawka jęczmienia i takowy dokończyli, raptem w krzakach zajaśniały światła, a przy ich blasku spostrzegli ludzi jakichsiś kręcących się.

(Dokończenie nastąpi.)

HISTORYA

STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

1) California ma być przyjęta do szeregu stanów jako stan anti-niewolniczy, a granice jej mają być rozszerzone od Oregonu aż do posiadłości meksykańskich. 2) Ma zostać uorganizowane terytoryum Utah z osad mormońskich na zachód Californii bez wzmianki o niewolnictwie. 3) Terytoryum New Mexico ma zostać przeistoczone bez wzmianki o niewolnictwie. 4) Ma się zapłacić stanowi Texas 10,000,000 ze skarbca narodowego; handel niewolnikami ma być zniesiony w okręgu Columbia. 5)Przyjęto prawo odnoszące się do chwytania niewolników, którzy swym panom uciekli.

Gdy jeszcze obradowano nad temi kwestyami, umarł prezydent Taylor w dniu 9 lipca 1850 r. a podług konstytucyi został jego następcą wiceprezydent Millard Fillmore.

Podczas administracyi Taylor'a utworzono nowy stan Californię i trzy teryterya: New Mexico, Utah i Minnesota. Większa część terytoryum Utah była zamieszkaną przez sektę religijną tak nazwanych Mormonów, którzy prześladowani w Missouri i Illinois, w roku 1848 wyemigrowali w dziczyznę w pobliżu wielkiego słonego jeziora, zbudowali wielkie miasto i założyli plantacye. Sekta ta była założona przez niejakiego Józefa Smith. który twierdząc że sam Bóg objawił mu nową ewangelię, znalazł wnet dość zwolenników łatwowiernych. Sekta ta pomimo iż sprzeciwia się przez swoje wielożeństwo, chrześciańeach i moralności w ogóle, znajduje po dziś dzień wielu zwolenników a misyonarze jej jednają sobie prozelitów po wielu krajach europejskich zwłaszcza w Szwecyi i Norwegii. Mormoni nazwali kraj w którym się osiedlili Deseret (kraj pszczół) lecz kongres nazwał go Utah.

Utah jest jednym z najdziwniejszych krajów świata. Jest to że tak powiemy wielki kocioł składający się z całego szeregu dolin otoczonych skałami i spadzistemi górami. Na wschodzie tworzą granicę jego góry skaliste — na zachodzie ku Californii znajdują się niezmierne puszcze solne. W dolinach znajduje się zawsze pasza, lasy dostarczają zwierzyny; rola jest nader żyzna. Mormoni rozszerzyli się także później po innych terytoryach. Wielu z nich znajduje się w Idaho i Colorado. Rząd Stanów Zjednoczonych postępuje w ostatnich czasach surowo z nimi, chce bowiem wielożeństwo wykorzenić.

Najgłówniejszą sprawą podczas zarządu Millard'a Fillomore był akt kompromisowy, którego pięć artykułów powyżej podaliśmy. Ostatni (5ty) odnoszący się do chwytania niewolników wywoływał wciąż wielkie wzburzenie. Kwestya niewolnicza wywołała w 10 lat później wojnę domową.

Na początku r. 1851 zniżył kongres porto za listy przesyłane z jednej miejscowości w Stanach Zjednoczonych do drugiej na 3 centy. W tym samym czasie wydoskonalono elektro-magnetyczny system telegraficzny, tak korzystny dla handlu. Wynalazcą jego był Samuel F. B. Morse.

W tym samym czasie szerzyła się agitacya, której celem było uzyskanie wolności dla wyspy Cuba. Kubańczycy urządzali w Stanach Zjednoczonych wyprawy do wyspy Cuba, aby zrzucić jarzmo hiszpańskie, lecz wyprawy te nie udawały się, powstańców uwięziono, tracono ich naczelników, a Cuba stoi jeszcze dzisiaj pod zwierzchnictwem Hiszpanii.

Stany Zjednoczone uzyskały w tych czasach jeszcze więcej posiadłości. Odkupiły bowiem od Sioux'ów niezmierne obszary na północnym za-

chodzie. Wspomnieć także trzeba o różnych expedycyach dla odkrycia bieguna północnego. Niektórzy z dowódzców tych wypraw zaginęli jak np. Sir John Franklin i inni, pomimo tego zrobiono dość ważne odkrycia dla nauki i wiadomości.

W roku 1851 przybył do Stanów Zjednoczonych Ludwik Koszuth, sławny szermierz dla wolności Węgier. Pomimo iż nie odebrał pomocy materyalnej, to jednak przyjmowała go ludność amerykańska z wielką sympatyą.

W 1852 roku powstał między Stanami Zjednoczonymi i Anglią spór o rybołóztwo nad wywybrzeżem Nowej Fundlandyi, który został załatwiony przez ustępstwo z jednej i drugiej strony. W roku 1853 zawarły Stany Zjednoczone z Japonią przymierze przyjazne i handlowe, z którego znaczne korzyści wynikły dla dwóch tych państw.

Administracya Millard'a Fillmore ukończyła się utworzeniem nowego terytoryum Washington z północnej części stanu Oregon. Następcą Fillmore został obrany demokrata Franklin Pierce.

ROZDZIAŁ XII.

Administracya Franklin'a Pierce (1853 — 1857).

Zaraz na początku administracyi nowego prezydenta, powstał spór z Meksykiem o żyzną dolinę Messilla leżącą pomiędzy stanem Chihuahua i Nowym Meksykiem. Pod naczelnictwem znanego Santa Anna, który znów był prezydentem rzeczypospolitej sąsiedniej obsadzili Meksykanie tę dolinę. Zdawało się, że wojna jest nieunikniona, lecz kwestyę tę zdołano ostatecznie załatwić na drodze pokojowej. Później nastało znów rozprężenie stosunków dwóch rzeczypospolitych t. j. wtenczas, gdy podczas wojny domowej w Stanach Zjednoczonych, Maksymilian za pomocą bagnetów francuzkich został cesarzem meksykańskim. Stany Zjednoczone nie uznały go nigdy i nie zawiązały z jego rządem żadnych stosunków. Administracya Franklin'a Pierce była dosyć spokojną. Wysłano ekspedycyę dla zbadania okolic nad północno zachodnim krańcu Ameryki i wybrzeżem azyatyckiem. Poczęto także budować koleje mające łączyć ocean atlantycki z oceanem spokojnym i t. d. Kamahamcha król wysp Sandwich zamierzał wtenczas odstąpić te wyspy Stanom Zjednoczonym za pewnem wynagrodzeniem, coby też niezawodnie było nastąpiło pomimo protestu Anglii i Francyi, gdyby Kamahamcha nie był umarł w dniu 15 grudnia 1854 roku; syn jego Alexander Liholiho zerwał wszystkie rokowania w tej sprawie prowadzone.

W tym czasie postanowiono także utworzyć z wielkiego obszaru leżącego pomiędzy Missouri, Iowa i Minnesota, a terytoryami nad oceanem spokojnem dwa terytorya t. j. Kansas z południowej i Nebraska z północnej części. W tej sprawie nie obeszło się bez wielkich sporów, gdyż chodziło o to, czy w terytoryach tych miało istnieć niewolnictwo czy też przeciwnie. Przeciwnicy niewolnictwa zwyciężyli. Prawo zostało przyjęte i podpisane przez prezydenta w dniu 31 maja.

W dniu 3 marca uchwaliła izba reprezentantów tak nazwany „homestead bill" na mocy którego każdy biały obywatel, albo ten, który oświadczył, że zostanie obywatelem Stanów Zjednoczonych mógł sobie wybrać ćwierć sekcyi (160 akrów) roli rządowej, któraby się miała stać jego własnością, jeżeli mógł udowodnić iż mieszkał na tym gruncie przez pięć lat i rolę uprawiał. Po kilku tygodniowych debatach zmieniono to prawo tak, iż miano sprzedawać grunta te stopniowo t. j. grunta które w dziesięć lat po przyjęciu billu były w targu, miały kosztować 1 dolara za akier, pietnaście lat 75 centów, i tak stopniowo dalej; grunta będące trzydzieści lat w targu, miały kosztować 12½ c. za akier. Każdy obywatel atoli mógł na mocy tego prawa uzyskać 320 akrów.

Tymczasem powstały znów nieporozumienia pomiędzy Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi z powodu kwestyi kubańskiej; władze kubańskie bowiem zabrały statek amerykański Black Warrior, który podobno przewoził powstańców. Sprawa zakończyła się na tem, że właściciele zapłacili władzom kubańskim 6000 dolarów. Zawarto także traktat z Meksykiem regulujący kwestyę o granicę, a z Anglią o rybołóztwo nad wybrzeżem posiadłości angielskich w Ameryce.

Najgłówniejszemi wypadkami podczas administracyi prezydenta Pierce były agitacye zwolenników niewolnictwa, którzy zasady swe usiłowali przeprowadzić nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i na wyspie Cuba, w Meksyku i środkowej Ameryce i chcieli założyć wielkie państwo niewolnicze, któreby obejmowało wszystkie powyżej wymienione wyspy i państwa i wszystkie stany leżące na południe południowej granicy Pennsylwanii. Stolicą wymarzonego państwa miała być Havannah na wyspie Cuba. Amerykanin Walker który także do tego celu dążył, zdołał sobie nawet na kilka lat przywłaszczyć prezydenturę rzeczypospolitej Nicaragua w środkowej Ameryce. Ostatecznie przypłacił zuchwałość swą życiem. Pomiędzy wielu innemi popierał nawet prezydent Pierce zwolenników tego planu.

W tym samym czasie wydarzyły się rozruchy indyańskie w Oregonie i Washington Terr., które zostały wywołane przez zabiegi nierzetelnych agentów rządu, przez spekulantów i sąsiednich Anglików. Oddział wojsk Stanów Zjednoczonych, któ-

ry miał rozruchy uśmierzyć, został pobity przez Indyan i setki osadników musiały uciekać przed dzikimi rudoskórcami. W roku 1857 zdołano wprawdzie zapobiedz dalszym gwałtom Indyan, lecz niechęć wielka przeciw białym panowała wciąż pomiędzy plemionami na zachód gór skalistych mieszkającymi.

Podczas gdy rozprzężenie pomiędzy przyjaciołmi niewolnictwa i ich przeciwnikami stawało się coraz większem, a w nowem terytoryum Kansas z powodu tego przez cały rok prawie srożyła się wojna domowa w większych lub mniejszych rozmiarach, wreszcie nadszedł czas wyborów. Trzy polityczne partye zamianowały kadydatów. Utworzyła się bowiem z różnych innych stronnictw partya republikańska, która występowała przeciw wszystkim tym, którzy z niewolnictwa chcieli zrobić instytucyę zupełnie narodową. Partya ta republikańska miała najwięcej zwolenników w stanach północnych, lecz i na południu uzyskała sobie dużo przyjaciół. Oprócz tego istniała partya amerykańska, czyli tak nazwana ,,Know Nothing," która występowała przeciw wszystkim cudzoziemcom a zwłaszcza przeciw wpływowi katolicyzmu. Pomimo iż demokratyczna partya, która się była utworzyła w r. 1828, za czasów Jacksona była nader osłabioną, zdołała jednakowoż przy wyborach przeprowadzić swych kandydatów. James Buchanan z Pennsylvanii został wybrany prezydentem, John Breckenridge z Kentucky wiceprezydentem.

ROZDZIAŁ XIII.

Administracya Buchanan'a (1857 — 1861).

Początek administracyi Buchanan'a odznacza się wypadkiem, który rozdraźnienie partyi przeciwnej do szczytu prawie doprowadził. Niewolnik pewien Dred Scott przybył ze swym panem do Illinois, gdzie niewolnictwa nie było i ożenił się z czarną. Z małżeństwa tego wynikło dwoje dzieci. Gdy pan Scott'a po długich latach wracał do Missouri, zabrał całą familię ze sobą i uważał wszystkich jej członków za swoich niewolników. Scott udał się do sądów, a trybunał w St. Louis zawyrokował, że nie tylko żona jego i dzieci, lecz sam nawet Scott jest wolnym, gdyż przez lat kilkanaście przebywał w stanie, w którym nie było niewolnictwa. Sprawa ta poszła do najwyższego trybunału, który się oświadczył przeciwko Scott'owi, lecz z wyrokiem się zatrzymał aż po wyborach, obawiając się, ażeby partya anti-niewolnicza nie skorzystała z tego i całkowicie przeciw Buchanan'owi, który także był przyjacielem właścicieli niewolników, nie wystąpiła. Najwyższy trybunał oświadczył więc, że w ogóle żaden człowiek którego bowiem przodkowie zostali przywiezieni do Ameryki i za niewolników sprzedani nie ma prawa udawać się do sądów. Wyrok ten sprzeciwiał się konstytucyi, która opiewa, że jeden człowiek jest równy drugiemu. Nowy prezydent, który podobno wiedział już o wyroku nim został obranym, zgadzał się zupełnie z najwyższym trybunałem i wypowiedział to otwarcie nawet w swej mowie inauguracyjnej.

W Kansas trwała wciąż walka między stronnictwami. Przy wyborach władzy prawodawczej zwyciężyli atoli przyjaciele wolności i pomimo oporu południowców, prezydenta i nawet senatu, przeprowadzili w izbie reprezentantów, że terytoryum Kansas zostało wcielone do szeregu stanów nie uznających niewolnictwa (w styczniu 1861). Unia liczyła już 34 stany.

Podczas gdy przyjaciele wolności starali się zachować kraj przed niebezpieczeństwem, jakiem mu groziło uznanie niewolnictwa, usiłowali przyjaciele tegoż niewolnictwa jeszcze bardziej rozpowszechnić i to przez sprowadzanie murzynów z Afryki. W tym celu ustanowili tak nazwane ,,Stowarzyszenie pomocnicze robotników afrykańskich". Wszyskie południowe stany wstawiły się za tem stowarzyszeniem, nawet sam prezydent popierał takowe, co się okazuje z aktu iż zaprotestował przeciw przeszukiwaniu przez angielskie statki okrętów podejrzanych o przewożenie niewolników. Północne stany zaś usiłowały zapobiedz szerzeniu się niewolnictwa. Władze prawodawcze w New York i Ohio uchwaliły prawo nadające wolność każdemu niewolnikowi, mimo swej woli do tych stanów przyprowadzonego; a w Cleveland, O., zawiązało się nawet stowarzyszenie, które pracowało nad tem aby rząd położył koniec niewolnictwu przez wykupywanie niewolników. Maine, Massachusets, Connecticut, Michigan i Wisconsin oświadczyły się także za wolnością niewolników, lecz nie uchwaliły żadnych szczegółowych praw pod tym względem. Właściciele niewolników rozjątrzyli się naturalnie usłyszawszy o tem, a politycy południowi usiłowali skorzystać z tego, aby wywołać wojnę domową.

Tymczasem zaszły sprawy ważniejsze w terytoryum Utah, które na niejakiś czas zajęły uwagę ogółu. Mormoni rozjątrzeni, że kongres nie chciał wcielić Utah do stanów, poczęli się buntować; zniszczyli archiwa sądu okręgu Utah, i nie przyjmowali innych praw, jak tylko takie, które były ustanowione przez ich naczelnika religijnego i zarazem gubernatora terytoryum Bringhama Young, a następcę Józefa Smitha, założyciela tej sekty. Prezydent chcący przeprowa-

dzić prawa Stanów Zjednoczonych, zamianował pułkownika Cumming gubernatorem terr. Utah i wysłał korpus armii dla poparcia nowego gubernatora. Young ze swej strony wydał proklamacyę, iż będzie się opierał wojsku, lecz pomimo tego oddał swą służbę w ręce Cumming'a gdy ten przybył w kwietniu 1858 roku i oświadczył, że z ludem swoim wyjdzie do innego kraju. Udobruchał się jednakowoż i starał się o to, aby Utah było zamiemione na stan, co do dziś dnia nie nastało i nie nastanie, dopóki Mormoni nie wyrzekną się wielożeństwa.

Uspokoiły się znów umysły — w Utah było spokojnie, rozruchy nad wybrzeżem oceanu spokojnego przybliżały się ku końcowi; z mocarstwami ościennemi żyły Stan. Zjed. w zgodzie; gdy jak grom z pogodnego nieba spadła wiadomość, że w Harper's Ferry (w Virginii tam gdzie rzeki Potomac i Shenandoah się schodzą) abolicyoniści podnieśli bunt i zajęli arsenał rządowy. (Abolicyonistami nazywali się ci, którzy chcieli znieść niewolnictwo.)

Bunt ten wywołał niejakiś John Brown, który był nieprzyjacielem niewolnictwa. Ideą jego było wywołać ogólne powstanie niewolników i w ten sposób ich uwolnić. Przygotowywał się na to przez całe lato 1859 r., a w dniu 16 października sądząc że stosowna nadeszła chwila, zajął z 17 białymi i 5 murzynami arsenał w Harper's Ferry i obsadził most kolejowy; każdego zaś obywatela którego spotkał na ulicy, aresztował i osadził w budynku rządowym. W 24 godzin potem nadeszła milicya; wszczęła się potyczka, w której padło dwóch synów Brown'a; sam zaś został uwięzionym, oskarżonym o zdradę stanu i zabójstwo, osądzonym na śmierć, którą poniósł 2 grudnia 1859 roku.

Bunt ten wywołał niezmierny przestrach; południowcy mniemali, że był ukartowany przez wszystkie stany północne, lecz śledztwo w tej sprawie przedsięwzięte okazało, że o planie Brown'a wiedziało tylko dwudziestu spiskowców.

Wybory miejscowe w r. 1858 i 1859 okazały, że zwolennicy stronnictwa republikańskiego coraz bardziej się mnożą, a przyjaciele niewolnictwa przekonali się, że im się już nie uda wybrać prezydenta sprzyjającego, zwłaszcza zaś dla tego że wielu demokratów zaczęło się przyłączać do stronnictwa republikańskiego. Postanowili więc zezwolić na wybór prezydenta republikańskiego, poczem chcieli wystąpić przeciw niemu, pod pozorem że jest partyzanckim prezydentem wybranym przez stronnictwo, którego zasady sprzeciwiają się konstytucyi. Na czele przyjaciół niewolnictwa stanął Jefferson Davis i inni.

W dniu 23 kwietnia 1860 r., zgromadziło się w Charleston, S. Carolina około 600 reprezentantów stronnictwa demokratycznego, aby zamianować kandydata na prezydenturę. Zaraz na pierwszych sesyach okazało się, że nastąpi poróżnienie. Większa część reprezentantów z południa postanowiła zażądać kandydata, aby obowiązał się starać o uznanie niewolnictwa w całych Stanach Zjednoczonych. Gdy jednak większa część reprezentantów postanowiła pozostać przy dawniejszych zasadach demokratycznych i uznać tylko to, co cały lud rozporządzi, wydalili się z konwencyi wszyscy delegaci z Alabama, Mississippi, Florida, i Texas; wszyscy z Louisiana i S. Carolina wyjąwszy dwóch, a 3 z Arkansas i w dniu następnym 26 z Georgia. Ci postanowili utworzyć nową organizacyę. Regularni demokraci odroczyli konwencyę aż do czerwca, kiedy zamianowali Douglas'a z Illinois kandydatem prezydentury; secesyoniści zaś John'a B. Breckenridge ówczesnego wiceprezydenta. Tymczasem utworzyła się była nowa partya pod nazwą „narodowa konstytucyjna partya unii", która nominowała John'a Bell'a z Tennessee; republikanie oświadczyli się na konwencyi w Chicago (19 maja 1860 r.) za Abrahamem Lincoln z Illinois za prezydenta i Hannibalem Hamlin z Maine za wiceprezydenta rzeczypospolitej. Rozpoczęła się jedna z najznaczniejszych walk politycznych, która się zakończyła zwycięztwem stronnictwa republikańskiego. Abraham Lincoln został wybrany prezydenten.

Pomiędzy politykami stanów niewolniczych zapanowała radość. Do tego czasu trudnili się tylko spiskami przeciw rządowi, obecnie postanowili jawny wywołać bunt. Wszystko sprzyjało ich planom; gubernatorowie wszystkich stanów południowych byli demokratami, którzy sprzyjali secesyonistom (wyjąwszy gubernatorów stanów Maryland i Deleware) i trzech czy czterech członków gabinetu Buchanan'a należało także do spiskowców.

Nasamprzód wystąpił jawnie stan S. Carolina, którego reprezentanci w dniu 20 grudnia 1860 r. w Charleston wystąpili z unii. W ślad za Stanem S. Carolina poszły: Mississippi, Florida, Alabama, Georgia, Louisiana, Texas, Virginia, Arkansas, N. Carolina i Tennesee. W d. 4 lutego 1861 zgromadzili się reprezentanci z tych stanów w Montgomery, Ala., gdzie ustanowili związek i przybrali nazwę: Konfederowane Stany Ameryki. Uchwalono tymczasową konstytucyę; Jefferson Davis z Mississippi został obrany tymczasowym prezydentem, a Alexander Stephens z Georgii wiceprezydentem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)